
„DIOGENES”, CZYLI WSPÓŁCZESNOŚĆ W HUMANISTYCE

W listopadzie 1952 roku ukazał się pierwszy numer „Diogenesa” (Diogène). Skromny jubileusz dziesięciolecia, jaki przypadł na koniec 1962 roku, mógł nam więc posłużyć za okazję do wzmianki. Wszelako „Diogenes” nie należy do tych periodyków naukowych, którym poświęca się kilka ciepłych słów raz na dziesięć lat, przy jubileuszu. Może dlatego ta wzmianka będzie od zwykłych życzeń z okazji dziesięciolecia bogatsza o szacunek dla naukowców, a od normalnej kroniki ciekawego czasopisma cieplejsza o sentyment dla jubilata.

„Diogenes” jest kwartalnikiem naukowym wydawanym przez Conseil international de la philosophie et des sciences humaines, organizację założoną pod auspicjami UNESCO (w skład Rady UNESCO wchodzi między innymi polski uczony, historyk Kazimierz Kumaniecki)¹. Pismo ukazuje się w czterech równoległych edycjach: w języku angielskim, francuskim, hiszpańskim i arabskim. W takim doborze wersji językowych nietrudno dostrzec intencję wydawców – „Diogenes” nie jest pismem obliczonym wyłącznie na europejskiego odbiorcę, ale ma także ambicję dotarcia do Ameryki Południowej, do Afryki i na Bliski Wschód (zobaczymy, że ta ambicja daje się odczytać także w problematyce czasopisma). Francuska wersja kwartalnika ukazuje się w Paryżu, w wydawnictwie Gallimarda. Na treść numeru składają

¹ Warto wspomnieć, że przewodniczącym CIPSH w latach 1984–1988 był Jan Białostocki – *przyp. red. nauk.*

się głównie rozprawy – w niektórych egzemplarzach można spotkać dział kronik i recenzji. Poza tym na końcu każdego numeru znajdują się krótkie informacje biograficzne o autorach zamieszczonych tekstów. Średnia objętość zeszytu – około 150 stron.

Tyle dane. Za danymi jednak kryją się ludzie, którzy to pismo robią, i ci, którzy do niego pisują. Zobaczmy pokrótce, kim są jedni i drudzy. „Diogenesa” redaguje siedmioosobowy komitet i redaktor naczelny. Parę nazwisk: jako przedstawiciel Niemiec w komitecie zasiada Max Horkheimer, socjolog i teoretyk kultury, bliski współpracownik Karla Mannheim’a z okresu badań w kolońskim Instytucie Socjologicznym. Włochy reprezentuje w komitecie redakcyjnym Francesco Gabrieli, filolog-orientalista, profesor literatury arabskiej na Uniwersytecie Rzymskim, historyk orientalnych kultur i religii, autor *Historii literatury arabskiej* i *Świata islamu*. Członkiem kolegium jest również Denis W. Brogan, angielski socjolog, specjalista od *mass-culture*. Funkcję redaktora naczelnego pełni Francuz Roger Caillois, estetyk i socjolog, autor między innymi esejów o współczesnej socjologii i pracy o poetyce Saint-Johna Perse’a.

Kto pisuje lub pisywał do „Diogenesa”? Nazwisk jest wiele. Wymieńmy tu tylko najważniejsze z nich: a więc Karl Jaspers, José Ortega y Gasset i Arnold J. Toynbee, Jean Piaget i Claude Lévi-Strauss, Lewis Mumford, Herbert Marcuse i Theodor Adorno, dalej socjologowie: Peter C. Gutkind, Irving L. Horowitz i Hubert Deschamps, historyk Basil Davidson, wreszcie François Perroux, Raymond Aron i Gaëtan Picon. Są również i polskie nazwiska – „Diogenes” drukował prace Romana Ingardena, Stefana Morawskiego, Adama Schaffa i Władysława Tatarkiewicza.

Jak widać, wachlarz nazwisk autorów i zajmowanych stanowisk jest niezwykle szeroki. Nie mniej zróżnicowany jest repertuar problematyki – w tym względzie „Diogenes” odznacza się niewątpliwie wysokimi ambicjami „międzynarodowego przeglądu nauk humanistycznych”, o czym z dumą świadczy podtytuł czasopisma. Trzeba od razu powiedzieć, że nie są to tylko ambicje. Kwartalnik jest robiony rzetelnie i zajmuje się wieloma istotnymi zagadnieniami najszerzej pojmowanej współczesnej humanistyki. Znajdziemy tu więc antropologię obok estetyki, a historię filozofii w doskonałej komitywie z ekonomiczno-socjalnymi problemami „krajów słabo rozwiniętych”. W bezpośrednim sąsiedztwie ogólnych, teoretycznych rozważań nad

metodologią nauk społecznych spotkamy najbardziej empiryczne badania z zakresu na przykład etnologii. Spróbujmy zresztą, dla lepszego obrazu, przekartkować ostatni rocznik „Diogenesa”.

Numer 37 (styczeń–marzec 1962) jest w całości poświęcony sprawom Czarnej Afryki i zawiera kilka interesujących tekstów. I tak w rozprawce *De la négritude* Léopold Sédar Senghor, poeta, estetyk i prezydent Republiki Senegal w jednej osobie, analizuje „mentalność” afrykańskiego Murzyna. Forсуje się tam tezę samą w sobie banalną, a jednak, zdaniem Senghora, przez europejskie umysły zbyt często nie dostrzeganą – tę mianowicie, iż Europa jako krąg kulturowy nie posiada bynajmniej monopolu na „autentyzm” ludzkiego przeżywania świata. Co więcej, z tekstu Senghora wynika jasno, że taki monopol znajduje się nie gdzie indziej, jak właśnie w Afryce. Murzyn afrykański odznacza się „wycuciem rytmu życia”, ruchów, form, kolorów, jest mentalnością „intuicyjno-partycypacyjną”, której umysłowe pojmowanie świata wyrasta na gruncie fizjologii. Taka mentalność nie poznaje swego świata, ale „żyje z nim w symbiozie – jak ładnie powie Senghor – tańczy go”. Dzięki tej fizjologiczno-emocjonalnej postawie Murzyn jest „istotą witalną, kosmiczną, zhumanizowaną przyrodą i znaturalizowanym człowiekiem”. Wraz z przebudzeniem się Czarnej Afryki rozpoczyna się emanacja tej mentalności do kultury światowej – i tu Senghor użyje całego arsenału intelektualnego europejskiej tradycji kulturowej, aby dowieść, iż współczesność i przyszłość Europy to synteza jej cywilizacji z afrykańskim typem przeżywania świata przez człowieka. Odwołuje się więc autor aż do Kierkegarda, by poprzez Marksa, fenomenologię i Teilharda de Chardin, poprzez najnowsze prądy w estetyce i teorii sztuki, wreszcie poprzez nową wizję świata nauk fizykalnych doprowadzić tradycję europejską do punktu, w którym asymilacja mentalności murzyńskiej na jej grunt stanie się nieodzowna dla dalszego postępu światowej cywilizacji.

O podobnych aspektach „humanizmu murzyńskiego w literaturze afroamerykańskiej” pisze Albert Gérard, belgijski filolog i literaturoznawca, były profesor w Ruanda-Urundi² i w Kongu. Rozprawka nosi tytuł *Humanisme*

² Ruanda-Urundi to nazwa belgijskiego terytorium kolonialnego, które w 1962 roku podzieliło się na dwa niepodległe państwa: Rwandę oraz Burundi – *przyp. red. nauk.*

et *négritude* i mowa w niej, najogólniej biorąc, o nowych elementach artystycznej ekspresji człowieka, tych właśnie, które Senghor nazwał „witalnokosmicznymi”, a które do dorobku światowej kultury wnosi literatura murzyńska. Powieść afroamerykańska, dzięki artykulacji mentalności murzyńskiej w warunkach trojakiego upośledzenia – rasowego, ekonomicznego, socjalnego – „formuluje i komunikuje najistotniejsze problemy, których gwałtowną potrzebę uświadomienia sobie odczuwa cała ludzkość, niezależnie od rasy...” (s. 140).

A oto inne dwa teksty poświęcone afrykańskiej kulturze literackiej. Angielski filolog, znawca języków afrykańskich, Wilfred H. Whiteley, pisze o „pojęciu afrykańskiej prozy literackiej”. Analizuje się tam specyfikę tej twórczości jako wyrosłej na gruncie ustnej tradycji literackiej – podań, baśni i mitów – oraz rozwój prozy pisanej i jej wpływ na krąg odbiorców.

O poezji afrykańskiej w języku portugalskim i jej związkach ze społeczno-ekonomiczną strukturą kolonii pisze Alfredo Margarido – portugalski dziennikarz i krytyk literacki o dość radykalnych poglądach politycznych (między innymi w roku 1957 rząd Portugalii zabronił mu wstępu do Angoli ze względu na „lewicową propagandę”). Podczas gdy tekst Whiteleya jest mocno akademicki i ma pretensje do „obiektywnej analizy naukowej”, to artykuł Margarido posiada wyraźne piętno literackiej publicystyki. Autor nie ukrywa bynajmniej swoich sympatii, których przedmiotem jest walcząca poezja Angoli i Mozambiku, antykolonialna i antyrasistowska. Co więcej, autor dostrzega również plan teoretyczny tych walk – ideologię marksistowską, która zresztą jemu samemu nie jest bynajmniej obca. „Murzyn [...] odwołuje się do historii i odrzuca fałszywe racje kolonizatora [...], spostrzega, że należy do określonej klasy i następnie do określonego narodu [...] – niewolnik zaczyna rozumieć, że był niewolnikiem...” (s. 80). W tej sytuacji poezja staje się nosicielem ideologii – od niej zależy kierunek, jaki ta walka przyjmie.

Nie miejsce tu ani czas po temu, aby omawiać szczegółowo te i inne artykuły ani by nawiązywać z nimi polemikę. Idzie nam w przeglądzie tych rozważań wyłącznie o uchwycenie czegoś, co można by nazwać ich „klimatem”, ogólną intencją. Taką intencją jest tu bez wątpienia próba ekspozycji Czarnego Łądu na plan światowej nauki. „Diogenes” wskazuje tu na niezbity fakt – ten mianowicie, że Afryka zdobywa autonomię problematyki humanistycznej, że daje własne odpowiedzi na własne zagadnienia, na koniec

wreszcie, że tak zwana cywilizacja zachodnia musi się z tym stanem rzeczy pogodzić³. Co więcej, pismo popiera wyraźnie ten akces Afryki do trustu światowej kultury, jej sztukę, jej psychikę, jej walkę wreszcie. Można taką postawę nazwać „postępową” – my nazwijmy ją skromniej, choć nie mniej pozytywnie – „współczesną”. Ten bowiem chyba, a nie inny epitet wyraża najpełniej szacunek dla czasopisma o aspiracjach „Diogenesa”, aspiracjach nieunikania problemu i naświetlania go ze wszystkich możliwych stron. Aby nie oprzeć się na jednym tylko przykładzie, weźmy do ręki inne egzemplarze naszego kwartalnika.

Numer 38 (kwiecień–czerwiec 1962) traktuje dla odmiany o „starych i nowych problemach estetyki”. Starym problemom poświęcone są artykuły Władysława Tatarkiewicza *Dwa tysiące lat poetyki* (obszerna analiza poetyki okresu helleńsko-rzymskiego oraz Średniowiecza) i Károly’ego Kerényiego *Narodziny i przeobrażenia komedii w Atenach*. Obok tych czysto historycznych rozpraw są tam także prace zajmujące się problemami estetyki współczesnej, a więc ciemny i trudny tekst Rogera Muniera o fotografii (znać na nim wyraźnie heideggerowskie sympatie autora), dalej artykuł Renato Poggiolo, znanego włoskiego estetyka o bogatej przeszłości profesorskiej (Chicago, Berkeley, Harvard, Rzym, Sorbona, Princeton), poświęcony pojęciu dekadencji w literaturze przełomu ostatniego stulecia, wreszcie tyleż trudna co ciekawa rozprawka Giovanniego Urbaniego *O roli przypadku w sztuce współczesnej*, na której z kolei wyraźne piętno naznaczyły fenomenologiczne preferencje autora. Gdy dodamy do tego zamieszczoną w 36 numerze (październik–grudzień 1961) pracę Stefana Morawskiego *O perypetiach teorii realizmu socjalistycznego*, otrzymamy – niech darowane mi będzie to kulinarne porównanie – „bufet” estetyczny, obficie zaopatrzony w problematykę i rozmaite stanowiska filozoficzne (w „bufecie” tym zresztą, jak widać, niepoślednią rolę odgrywa „kuchnia” polska).

Ta „bufetowa” koncepcja czasopisma jest jeszcze bardziej widoczna w ostatnim, 40, numerze (październik–grudzień 1962). Po prostu dlatego,

³ Problematyce ruchu *négritude* Siemek poświęcił osobny esej *Konserwatyzm czy postęp społeczny? (Wokół niektórych problemów ideologii négritude)*, w: tegoż, *W kręgu filozofów*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2018, s. 137–146 – *przyp. red. nauk*.

że numer ten, w przeciwieństwie do poprzednich, nie jest zrobiony „problemowo”, to znaczy nie jest w całości poświęcony jednemu wybranemu kompleksowi zagadnień. Toteż znajdziemy tu ostrzejsze kontrasty tak problematyki, jak i poziomu poszczególnych tekstów. I tak na przykład obok interesujących studiów szczegółowych z zakresu psychologii, pedagogiki czy nauki o literaturze mamy tu ogólną, choć płytką historiozofię. Marc Chapiro, *privatdozent* genewskiego uniwersytetu, pisze o *Maszynie i wolności*. Niestety tezy, które proponuje, nie są ani oryginalne, ani nawet ciekawie wyeksponowane. Kluczem do syntezy historiozoficznej, która odbywa się tu na równie wysokich stopniach ogólności i naiwności, jest spirytualizująca koncepcja człowieka, najwyraźniej zresztą inspirowana przez Alberta Schweitzera, a podana w znacznie słabszym wykonaniu. „Gwóźdź programu” stanowi oczywiście twierdzenie, iż „okrucieństwa” kapitalizmu XIX wieku zawdzięcza Europa li tylko kiepskiemu poziomowi moralnemu społeczeństwa (szczególnie zepsuci byli kapitaliści, którzy, mając w posiadaniu tak wspaniały dar boży, jak maszynę, wykorzystali go dla własnych interesów, zamiast uszczęśliwić przy jego pomocy całą ludzkość). Z całą niezaprzeczną wnikliwością „Rosjanina w Paryżu” (i to tego „lepszego”, przedrewolucyjnego Rosjanina!) nawiązuje nasz autor polemikę z marksizmem. Trudno wstrzymać się od uwagi, iż jest to polemika z rzędu tych, o których ktoś powiedział, że „sam fakt zaistnienia rozbieżności zdań między autorem, a jego takim czy innym adwersarzem przemawia niezbitnie na korzyść tego ostatniego”.

Z tym dość mętnym tekstem bardzo korzystnie kontrastuje trzeźwy i konkretny artykuł Jeana Chateau, francuskiego psychologa i pedagoga, specjalisty od psychologii zabaw dziecięcych, pod tytułem *Regle et turbulence dans le jeu enfantin* (Reguła i zaburzenie w dziecięcej zabawie). Widać w tej pracy z jednej strony wyraźne inspiracje badań Piageta, z drugiej zaś wpływy zapożyczonej od Huizingi koncepcji zabawy jako głównego czynnika określającego ludzką działalność kulturową. Chateau bada proces przekształcania się zachowań dziecka z nieregularnych, rządzonych instynktem i uniesieniem w uporządkowane, kierowane uznanymi przez grupę zasadami. W tym procesie istotną rolę odgrywa reguła gry, którą przyjmują wszyscy członkowie dziecięcych grup zabawowych. Internalizacja takich najprostszych reguł eliminuje stopniowo pierwotną „turbulencję”, uczy dziecko panowania nad

swymi zachowaniami i przygotowuje je do racjonalnego, uporządkowanego przeżywania świata. W sumie – ciekawa rozprawka o wychowawczej funkcji reguły w zabawach dziecięcych.

Obok mamy interesującą pracę z dość niezwykłego pogranicza medycyny, biologii i „demonologii filozoficznej” pod tytułem *La monstruosité et le monstrueux*⁴. Autorem jej jest Georges Canguilhem, a na treść składa się analiza pojęcia „potwora” w świecie organicznym i jego związki z ludzką wyobraźnią. Dalej artykuł znanego francuskiego tłumacza Edmonda Cary’ego o historii i teorii przekładu oraz sprawozdanie z prac radzieckich uczonych nad odczytaniem pisma Majów pióra Jurija Knorozowa (podjęto tam ciekawą próbę zastosowania do tego celu metod cybernetycznych).

Z nie mniej ciekawego 39 numeru (lipiec–wrzesień 1962), poświęconego z kolei problemom współczesnej socjologii, wybierzemy tu tylko jeden artykuł. Prześledzimy go za to nieco uważniej, a to nie tylko dlatego, że artykuł ten sam jest bardzo interesujący, ale również dlatego, iż wydaje się on bardzo charakterystyczny dla ogólnej orientacji całego czasopisma. Idzie nam tu o pracę amerykańskiego socjologa Irvinga L. Horowitza pod tytułem *L’objectivité dans les sciences sociales* [Obiektywność w naukach społecznych – *przyp. red. nauk.*]. Autor podejmuje tu najstarszy chyba i najogólniejszy problem socjologii i nie tylko socjologii – mianowicie problem aksjologicznych perspektyw nauk społecznych. W krótkiej analizie historycznej Horowitz szkicuje dwa przeciwstawne typy stanowisk wobec tego problemu. Pierwszy z nich – to linia Comte’a i Spencera, która kulminuje w amerykańskiej socjologii funkcjonalistycznej i – w nieco zmodyfikowanej postaci – w poglądach Maksa Webera i Durkheima. Najogólniej biorąc, całą tę linię charakteryzuje mniej lub bardziej głębokie przekonanie o niezależności nauk społecznych od przesłanek aksjologicznych, przekonanie, które opiera się na Kantowskim jeszcze rozróżnieniu faktu i wartości, a które prowadzi do przenoszenia obiektywistycznego „modelu naukowości” nauk fizykalnych na nauki humanistyczne. Przeciwstawna linia, zdaniem autora, wychodzi od Marksa, by poprzez Freuda i psychoanalizę dojść do Maxa Schelera i Mannheima.

⁴ Por. G. Canguilhem, *Potworność i to, co potworne*, przeł. D. Leszczyński, „Nowa Krytyka”, 14/2003, s. 223–236 – *przyp. red. nauk.*

Jest to linia „demystyfikująca”, która obala mit „obiektywnej nauki społecznej”, wskazując na świadomy lub nieświadomy aksjologiczny horyzont każdej postawy w humanistyce.

Autor artykułu jest zbyt mocno związany z mannheimowską tradycją socjologii wiedzy, by nie było widać jego własnych preferencji. Z drugiej jednak strony Horowitz dobrze zdaje sobie sprawę z jałowości relatywizmu, do którego musi sprowadzać się socjologia wiedzy, jeśli ma pozostać wyłącznie „demystifikatorem”. Stąd też końcowy (nieobcy zresztą samemu Mannheimowi) postulat nauki społecznej, która będzie nauką wartości, nie przestając być nauką. Innymi słowy, idzie o nowy „model naukowości”, różny od tego, na którym opierają się nauki fizykalne, o świadomość całego dorobku demystyfikującej tradycji socjologii wiedzy, ale również przezwyciężający relatywizm poznawczy tej ostatniej. Skoro wiemy, iż nie da się w naukach społecznych pominąć ich aksjologicznych przesłanek, spróbujmy tedy znaleźć taką aksjologię, której nie trzeba będzie pomijać, która, będąc powszechną, może posłużyć za fundament dla nowego modelu nauk humanistycznych, która, by użyć słów Horowitza, „ostatecznie usunie fałszywy dualizm nauki i wartości, obiektywności i interesu, społeczeństwa i rodzaju ludzkiego” (s. 49).

*

Gdyby brzydki, pozytywistyczny nawyk sumowania kazał nam sporządzić „bilans” naszego czasopisma, zaczęlibyśmy od pasywów, jako że przy jubileuszu ładniej będzie na aktywach zakończyć. Obiekcja pierwsza ma charakter merytoryczny i dotyczy „nierówności”. Ceną, jaką płaci „Diogenes” za swój niezwykle szeroki zakres zainteresowań, są chyba zbyt wielkie różnice poziomu, istotności i stopnia trudności rozmaitych tekstów. Dlatego pismo typu „Diogenesa” może mieć tylko prenumeratorów, rzadko zwolenników, nigdy wyznawców. Poza tym „Diogenes” winien jest paru pomniejszym uchybieniom natury czysto formalnej, jak na przykład pewnego zlekceważenia działu sprawozdań, kronik i recenzji. I tak rocznik 1962 nie zawiera ani jednej recenzji, a kroniki znajdziemy tylko w jednym numerze (40). Tę formę „dialogu ze współczesnością” redakcja wydaje się więc ostatnio nieco zaniedbywać – szkoda, bo mniej więcej do roku 1960 dział kronik i sprawozdań prowadzono w „Diogenesie” bardzo sumiennie. Nadto pewnym

szokiem dla polskiego czytelnika mogą być niektóre elementy szaty graficznej naszego czasopisma – nie wiemy wprawdzie, jakiego rzędu są subsydia UNESCO dla „Diogenesa”, niemniej nie wydaje się, iżby kwartalnik naukowy pod tak wysokim protektoratem zmuszony był do zamieszczania reklam linii lotniczych SAS. Wszelako nie godzi się czepiać drobnostek w dziesięciolecie. Przejdźmy raczej do aktywów, które są znacznie bogatsze i bardziej istotne od poprzedniej części naszego bilansu.

„Diogenes” jest pismem międzynarodowym. Dzięki wielojęzyczności swych edycji miesza kręgi odbiorców z finezją godną swego wielkiego imiennika z beczki. W ten sposób Europa czyta po francusku teksty japońskich socjologów, a Egipt i Syria – po arabsku – artykuły polskich marksistów. Myśl humanistyczna wychodzi poza Europę i Amerykę Północną, stawia nowe problemy i daje im nowe rozwiązania, czy będzie to zagadnienie akulturacji we współczesnym świecie arabskim, czy też kwestie socjalne krajów afrykańskich. Ale poza zwykłą wymianą problemów i stanowisk spostrzegamy tu – dzięki wydatnej pomocy „Diogenesa” – nowe zjawisko, którego wagi nie sposób przecenić. Zjawisko to można nazwać pierwszym symptomem syntezy nauk humanistycznych, a istotą jego jest przekonanie o wzajemnym związku rozmaitych problemów i postaw wobec nich na gruncie tych nauk.